

uni na Gazowe ulice fabrykowali te herbaty, ale ja nie...

Oni dawali za dużo popiół. Jak im zabrali dwa cetnary te herbaty, to był prawie sam popiół i ogonki od stare herbaty albo kurz herbaczony... To co innego! Za trzy złote funt herbaty — to było u nich to samo, co za 30 groszy. Same wimoczki i popiół.

Żeby im sze co stało! Co oni nam, porządnym fabrykantom narobili!...

Co ja wlnien?

Ja przecie panom takie paskustwo nie sprzedaje, a jak przyjdzie taki głupi chłop, co chce dużo i tanio i w ładne paczke, to ja sze z nim targuje i on robi dobry interes, ja zarabiam... Co to szkodzi? Przecie taki cham sze nie pozna na herbatę!

Ja jezdem niewinny, to zara poznali, bo jak ja ino złożył kaucyje, to mnie zaraz wypuszczali...

I wszystkie ludże gadają, co żydy — to złodzieje!

Ny bardzo wielkie szkoda, co w te całe herbaczone sprawie nie ma ani jeden katolyk, ino same żydy... Bo jakby był choc jeden katolyk, toby można zara krzyknąć, co te antysemitniki to są bardzo podłe ludże...

Chłopski dowcip.

Ludzie podziwiają chłopski rozum. Mówią, że to rozum najlepszy.

Nie sprzeczą się, choć właściwie nie jest to rozum, tylko dowcip, spryt.

Oto świeży przykład:

Przyjeżdża chłop z furą drzewa do Warszawy a sprzedawszy je, staje przed apteką.

Była to godzina trzecia po obiedzie, chłopu się bardzo chciało jeść.

Ogląda się koło siebie, ogląda, nareszcie patrzy bystro w drzwi apteki i zaczyna się drapać po głowie.

Aptekarz spojrzawszy przypadkiem, nakoniec zdziwiony i zaciekawiony najwną miną Bartosza, wychodzi i pyta:

— A czegoście to chcieli, człowieku?

— Ba, żebym to wiedział!

— Jakto?

— A no zapomniałem.

— Czegoście zapomnieli?

— A to wielmożny dziedzic ze dwora kazali mi czegosić kupić w aptece i przepomniałem jak się to bestyjsiwo nazywo.

— I za dużo pienędzy mieliście to kupić?

— Dyć za sto złotych aże...

Aptekarz musnął się ręką po brodzie.

— To chodźcie, gospodarzu, do apteki, może sobie przypominacie.

Chłop wszedł do środka, ale jakoś na rozliczne pytania i domysły aptekarza oraz jego pomocników nic sobie nie przypominał, tylko ciągle odpowiadał:

— Nie, to nie. Ale dajta mi już pokój, bom głodny, trza pojechać na Siulec do zajazdu, to se tam podje, i może potem w tamty aptece dostanę, bo mi tam w zajeździe przypomna.

Aptekarz, nie chcąc chłopu puścić, poczęstował go chlebem, wódką raz i drugi, a wciąż poddawał mu do głowy różne medykamenty. Chłop tylko głową kiwał przecząco i gębą ruszał jak najęty.

— Nareszcie najadł się.

— Może senes? — pyta aptekarz po raz setny.

— Nie panicku, nie.

— Może aloes?

— Nie, i to nie.

— Może...

— Już wiem, już wiem, panicku, niech panicek sobie głowy na łamie, to smoła.

I wyszedł z apteki, mając kupić smoły na mieście.

DOWCIPY I ŻARTY.

Z koszar.

Pan kapitan odbywa z rekrutami lekcję salutowania. Majer żydek z Tarnowa nie może jednak jakoś pojąć. Po długim tłumaczeniu, gdy kapitan był pewny, że uczeń go pojął, rzekł:

— Teraz ja będę przedstawiał wagon dworski, a ty masz oddać przepisany ukłon!

To powiedziawszy, zerwał się z miejsca i pomimo tuszy, sapiąc, przebiegł koło Majera, który ani się nie ruszył, ani nie salutował.

— A ty bydlę — woła kapitan — dlaczego nie salutujesz przed dworskim wagonem?

— Ny! — odparł uśmiechnięty Majer — po co ja mam salutować, jak w nim nikt nie siedział?

Tłumaczenie.

— Jakto? Dopiero drugi dzień po ślubie i ty wracasz do domu nad ranem?

— Moja duszko, właśnie dlatego, że to drugi dzień po ślubie, to mogłem bardzo łatwo zapomnieć, że jestem żonaty.

W restauracji.

Przyszedł gość do restauratora, lecz bez pieniędzy. Pyta się:

— Co jest jeść?

— Mówią, że jest kapłon z sosem.

— Co kosztuje kapłon?

— Dwie marki.

— A sos wlele?

— Nic nie kosztuje.

— Proszę sosu.

Krótkie dni.

— Czemu ty wcale nie robisz?

— Bo teraz w zimie są takie krótkie dni, że nie warto nawet zaczynać.

Na wsi.

Bartek: Wis ty, locego zboze tak sybko wyrasta, klej sie dobrze zlemię znawozil?

M a c l e k : A juści. Chce jak najprędzej z gnoju na śwłże powietrze wyżyć.

Co łatwiejsze?

Ktoś zapytał raz Miliona (sławnego poetę angielskiego z 17 wieku) dlaczego w niektórych państwach król może być koronowany już w 14 roku życia, żenić się zaś może dopiero po skończeniu 18 lat.

— Bo łatwiej jest rządzić państwem, niż kobietą — odpowiedział Milton.

Jasne jak słońce.

— Ho, ho, widzę, kupiłeś sobie rower! Ale skąd wzięłeś pieniądze?

— Sprzedałem futro.

— A co zrobisz, gdy znowu nastana mrozy?

— Sprzedam rower i kupię futro.

ŚMIESZEK

DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.

Nr. 6

Dnia 2 kwietnia

1930

Indyk za pięć złotych.

(Humoreska.)

— Jędre! a co tam na obiad?

— Mleko, proszę pana!

— I pierogi?... Co?

— A juści!

— Bodajżeś pekił idjoto, panie dobrodzieju!

Ale „idjota pan dobrodziej nie pekał“, tylko zęby w naiwnym uśmiechu pokazawszy, wynosił się z izby. Był to wyrostek dwunastoletni, syn gospodyni, u której my, trzej inżynierowie na pomiarach w K... będący, mieszkaliśmy na stacji. Od dziecięciu dni skazani na jarską kuchnię pani Walentowej, żyliśmy wyłącznie mąką i kartoflami na obiad, jajami na kolację. Mięso, ho!... przeszło trzy mile trzeba było gnać do miasteczka, gdzie czasem — bo nie zawsze — można było z trudem zdobyć kawał chabliny... Dobrym tasakiem dało się ono nawet porąbać — ale na zęby ludzkie za twarde było stanowczo!

Spróbowaliśmy raz i dało się spokój...

Złote góry obiecywaliśmy tedy babie za kure, żeby skąd wydołała — nikt nie chciał sprzedać! A to, że nośna, to znów — sama mam mało — to Bóg wie, czym się wymawiały gospodynie — kury nie dostałyśmy. — a na kurczęta było jeszcze za wcześnie.

Spekulowaliśmy, jak się dało, żeby żyć możliwie; więc kwaśne mleko z kartoflami i kluski; więc kartoflana zupa — pierogi; jaja na miękko, jaja na twardo... Słowem, żyliśmy jak ów ruski chłop, co widział we dworze parę potraw na obiad, i zaprowadził potem u siebie w chacie menu: „bulba warana, bulba peczena i bulba takuj tak!“ Były trzy potrawy.

Najwięcej z nas cierpiał Władek M., bo bardzo był mięsożerny, a kartofle kłuły go w zęby. Dunderował i kłął zapewniając, że kwaśne mleko jeszcze przed spożyciem działa nań chorobliwie.

Formalnie schudł nasz „pan dobrodziej“.

Nazywaliśmy go tak żartobliwie — bo przysłowa „panie dobrodzieju“ używał nieledwie co trzecio słowo. Nie byłem przytem, — ale zapewniono mnie, że Władzio przy swoim ślubie miał przysięgać: „Ja Władysław, panie dobrodzieju, biorę ciebie, panie dobrodzieju“ i t. d.

Pobożny chłop był; co dzień wieczór odmawiał pacierz klęcząc.

Mimo tej pobożności jednak — nie słuchał naszych perswazyj i co do zgadzania się z wolą boską, z przeznaczeniem — i za mięsem wdychając ciągle przemysłował o zmianie jedzenia...

Najbardziej go irytował piękny, młody indyk u księży gospodyni, którego spotykaliśmy zawsze, wychodząc rano w pole popod plebanję. Był to, wedle opowiadania pani Walentowej, ulubieniec proboszcza — o sprzedaniu go więc nie mogło być nawet pomyślenia!...

Ba!... od czegoś spryt?... „Pan dobrodziej“ myślał, myślał i przecie w końcu wymyślił!... Zawołał nas na naradę wojenną, plan ułożyliśmy wieczorem doskonale — rano udało się wykonanie doskonale. Jakże zatem?... Ho!... to byto było skombinowane po mistrzowsku...

— Tylko gęba na guzik, panie dobrodzieju, — surowo upominał nas Władek, — bo jakby się wydało, no!...

I wybraliśmy się na drugi dzień rano jak zwyczajnie w pole.

Wszystko jak zwyczajnie — tylko Władek czegoś niedomagając, pożyczyl sobie od pani Walentowej ogromną czerwoną chustkę, która dla zabezpieczenia od zimna (było 16 stopni plus Reaumira!) kataru rozpostarł sobie na plecach jak szal.

Cóż się dzieje? Przed samą plebanją, gdy Władzio dobrodziej stanął dla skrócenia papierosa — nagle pojawił się indyk i na widok czerwonej chustki zagadał straszliwie! Naczipierzył ogon, korale posiniały mu aż do fioletu, rozwścieklony rzucił się na czerwoną chustkę!...

Podnieśliśmy alarm straszliwy...

— Gwałtu! Ratunku! Na pomoc! — rozległy się wrzaski, a już Władek przygotowanym bykowcem łuz indora po karku z całej siły...

— Gwałtu panie dobrodzieju! — ryczał nad leżącym już bez duszy ptakiem, — gwałtu! Ludzie, panie dobrodzieju, ratujcie!

I dla pewności łupił indora po łbie, aż proch z gościńca ulatał!...

— Gwałtu! gwałtu!

Nadbiegli ludzie z plebanji — na czele pani Wirgilia — (ślicznie się nazywała — co?) księża gospodyni; rajwach, awantura, ryk!

My, nibyto pokrzywdzeni gębowałłmy na napad wściekłego indyka, gospodyni księdza wymyślała nam za zabicie ulubieńca, czeladź dodawała jej otuchy uwagami.

Ale najokropniej szarpał się Władek — panie dobrodzieju!

— A co to jest, panie dobrodzieju, żeby nie można przejść spokojnie do pracy! Takiego, panie dobrodzieju, napastnika powinno się trzymać na łańcuch! Ja panie dobrodzieju skarzę jutro do sądu... Dostałem z przestrachu nerwowego, panie dobrodzieju, ataku!...